ROZMAITOŚCI.

Dnia 9. Stycznia. № 2. Roku 1856.

RIK — TIK — TAK.

(Powieść z życia flamandzkiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 1. Rozmaitości.)

II.

Lena odeszła z krową szukać paszy wzdłuż rzéki. Szła powoli ścieżką, trzymając bydlę na długim powrozie. Przybywszy do miejsca, gdzie step przytyka do bagnistéj łąki i ocieniony jest zarazem olszyną i jałowcem, oddaliła się o kilka kroków od ścieżki. Tam stoi samotny dąb, bez wątpienia zasiany przez ptactwo, gdyż dokąd wzrok zasięga niewidać ani jednéj krzewiny, która byłaby podobną do niego. Lena siada na piasku u stóp olbrzymiego drzewa, zwiésza głowę na piersi z wzrokiem utkwionym w ziemię, upuszcza powrozu krowie i zapada w zwyczajne swe dumanie.

Na wolném powietrzu, pod błękitném sklepieniem nieba, uczuwa jéj serce ulgę w smutku, którém je zatruto: żadna skarga niewychodzi z ust jéj, żadne westchnienie z jéj piersi; tylko perłowy strumień łez spływa w cichości na jéj łono. Boleść jéj trwa długo, bardzo długo; wreszcie przestaje płakać i podnosi głowę. Zwraca ku niebu zapłakane oczy, i śpiewa niby modląc się do Boga:

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!
Daléj do młota,
Kujmy co tchu!
Niech stal czerwona
Iskrami miota,
Kto ją pokona
Ten godzien snu!
Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Cóż znaczy ta dziwna i tajemnicza piosnka w ustach Leny? Napróżnoby ją pytano o to; ona sama niewié, jak się to dzieje, że usta jéj mimowolnie powtarzają ciągle tę skoczną zwrotkę. Nawet nieprzypominała sobie, czy kiedykolwiek śpiewano jéj tę piosnkę, i sądziła sama, że wyrazy te i nuta wysnuły się z jéj duszy bez żadnéj przyczyny pewnéj. Teraz stanowiła ta piosnka część jéj zagadkowéj istoty jakby drugi głos, zrozumiały tylko dla niéj saméj; a chociaż głos ten niemówił jéj nic wyraźnego, wielbiła go przecież jako obfite

źródło pociechy i ulgi w swoich strapieniach, i przyzwyczaiła się w każdéj chwili czy smutku czy radości, wyrażać nim najgłębsze swe wzruszenia.

Piosnka ta miała taką władzę nad nią, że przyśpiewawszy ją kilka razy tonem coraz weselszym, zdawała się zapominać zupełnie, że była skazana na to, by usychać i gasnąć pod razami nielitościwéj ręki. Magiczny wyraz *Rik — tik — tak* rozjaśnił jéj twarz promieniem spokoju i wesołości; wnet bowiem podniosła się zwolna, powiodła krowę nieco daléj, by mogła znaleźć więcéj trawy, i pobiegła stepem ku piaszczystemu pagórkowi, który się wznosił w niejakiéj odległości śród niezmiernéj równiny.

Na szczycie tego pustego wzgórza była wyciśnięta postać ludzka. Lena musiała bez wątpienia odwiedzać to miejsce, gdyż i teraz usiadła na ugniecionym już piasku. Z głową wydaną naprzód i rękoma opartemi na kolanach utkwiła swe czarne oko w jakiś punkt siny, który rysował się na granicy widokręgu.

Z tego punktu, przedstawiającego bez wątpienia dalekie miasto, zdawała się wychodzić droga, która wijąc się w dziwacznych zakrętach po stepie wiodła do futoru i gubiła się w dalekiéj równinie. Nieruchomy wzrok Leny utkwiony był w ten punkt, zkąd wychodziła droga; można ją było porównać do sieroty rybackiéj, która siedząc na wysokim brzegu niespuszcza oczu z cichéj powierzchni morza i oczekuje łodzi, która nigdy już niepowróci! Ale z Leną miała się rzecz inaczéj: i ona także oczekiwała czegoś, ale niewiedziała do kogo czy do czego tęskni jéj serce. Patrzyła ciągle na drogę, i może miała tajemną nadzieję, że tą drogą przybędzie jéj wybawca; aleć dziéwczę to nieznało nikogo na świecie; stu podróżnych mogło przejść w jéj oczach, niezwróciwszy jéj uwagi na siebie. Czyż Lena miała pomieszane zmysły? O, nie! bynajmniéj, chociaż córki dzierzawczyni nazywały ją „szaloną".

Pośród ciągłych cierpień i pod ciężarem klątwy, jaką los rzucił na nią, wyrobiła w sobie Lena osobny rodzaj życia. Łatwo więc być mogło, że nieodgadnione postępowanie jéj nosiło na sobie piętno szaleństwa; ale za to z drugiéj strony, dzięki ciągłym dumaniom, zaostrzył się jéj rozum, i wyobraźnia nabyła cudownéj jakiejś siły. Tajemne uczucia, które wstrząsały jéj łono, nieprzytępiły wcale jéj rozsądku; dusza jéj rozważała i oceniała wszystko, co się jéj wydarzyło, ale skutek tych rozważań pozostał na zawsze tajemnicą dla drugich. Bo i na cóż zresztą przydałby się jéj rozsądek i rozum? Niebyłaż ona skazana na to, by zginąć powolną ale pewną śmiercią?

Już słońce oświécało zachodnią pochyłość wzgórza, południe dawno już minęło, a Lena siedziała ciągle nieodwracając oczu od sinego punktu. Dziéwczę było głodne, czuła to i cierpiała mocno.... a mimo to nieruszyła się z miejsca.

W téj chwili jakiś młody wieśniak wszedł ukradkiem między olszynę, która osłaniała rzékę; kilka razy oglądał się ostrożnie ku stronie futoru, jak gdyby

się obawiał, ażeby go niepostrzeżono, a w końcu dostał się do dębu, pod którym płakała Lena. Tu obrócił się ku piaszczystemu wzgórzu, przyłożył obie ręce do ust, by głosowi nadać pewniejszy kierunek i siłę, i zawołał: — „Leno! Leno!“

Dziéwczę powstało i zbliżyło się zwolna do młodzieńca, który dał jéj znak ręką, by usiadła obok niego. Potém wyjął z-pod swéj płótnianki kawał czarnego chleba i nieco słoniny, dobył nożyka, pokrajał słoninę w drobne kawałki na chlebie, podał je dziéwczynie, i rzekł z cicha stawiając mały dzbanek piwa pod krzakiem jałowcu: — „Leno, oto masz jedzenie i napój.“

Lena spojźrzała nań wzrokiem pełnym najgłębszéj wdzięczności i zaczęła jeść odpowiadając również cichym głosem:

— „Janie, Bóg ci to wynagrodzi, że czuwasz nad mém nędznem życiem. Dziękuję ci za twą troskliwą przyjaźń.“

Gwałtowna boleść ścisnęła serce młodemu wieśniakowi, który nierzekł więcéj ani słowa, ocierając tylko od czasu do czasu łzy wykradające się z niebieskich jego oczu; milczenie jego trwało tak długo, dopóką Lena po ukończeniu swego obiadu nierozpoczęła rozmowy temi słowy:

— „Janie, mój dobry przyjacielu, niesmuć się z méj przyczyny. Łzy twoje sprawiają mi większy ból niż razy twojéj matki.“

— „O, przebacz jéj, Leno, przebacz jéj dla miłości mojéj! Bo gdybyś ty umarła złorzecząc jéj, byłaby zgubiona jéj dusza.... Przecież to moja matka, Leno; przebacz jéj, proszę cię!“

— „Ja niemam jéj nic do przebaczenia, Janie. Ja nieżywię ani nienawiści, ani wspomnienia mych cierpień. Ja wszystko już zapomniałam.“

— „O, niezwodź mię, Leno. Czyż można zapomnąć takie okrucieństwo?“

— „Mówiłam ci to już nieraz, a ty mię nierozumiesz, bo i ja sama niewiem jak żyję, kiedy mię biją i znieważają, ciało moje cierpi wtedy bardzo, ale dusza pozostaje wolna i marzy o rzeczach dziwnych i niepojętych, które przesuwają się przed memi oczyma i owładają mię. Te widzenia są pokarmem méj duszy; dzięki im zapominam wnet o wszystkiém; one mówią mi o życiu lepszém, i obudzają nadzieję we mnie, że nie zawsze pozostanę sierotą. Czy Bóg w niebiesiech będzie moim ojcem? czy téż zobaczę matkę moją przed śmiercią? Ja tego niewiem sama.“

— „Rodzice twoi pomarli, Leno: matka moja mówiła mi to nieraz; ale niech cię to niedręczy. Patrz, jak silne są już moje ręce. Kilka lat jeszcze, a będę dojźrzałym mężem. O, żyj tak długo, Leno! a będę potém pracował dla ciebie od rana do wieczora, choćbym miał wiecznie pozostać twym sługą!“

— „Ty, Janie, moim sługą! O, do tego nieprzyjdzie. Spojźrzyj na moją twarz, i powiedz, co widzisz na wybladłych moich policzkach?“

Młody wieśniak zasłonił twarz obiema rękoma i westchnąwszy boleśnie rzekł przytłumionym głosem: „Śmierć! śmierć, niestety!“

Długie milczenie nastąpiło po tym bolesnym wykrzyku; w końcu pochwycił młodzian rękę dziewczyny i rzekł z głębokiém wzruszeniem:

— „Leno, tyś nieznała wcale zmarłych twych rodziców; od dzieciństwa wychowywała cię moja matka, i doznawałaś więcéj złego i więcéj cierpień, niż dziesięć osób zniesćby potrafiło. Jeźliby tak potrwało dłużéj, umarłabyś niezawodnie, przyznaję to ze łzami w oczach; ale gdyby odtąd zostawiono cię w spokoju, gdyby obchodzono się z tobą łagodnie, niemogłażbyś żyć dla mojego szczęścia?“

— „Żyć?“ — powtórzyła Lena; — „któż zna godzinę swéj śmierci? Ja wiem co chcesz uczynić. Ale pocóż z méj przyczyny masz ściągnąć na siebie nienawiść matki?“

— „Po co?“ — zawołał Jan napół z gniewem. — „Po co? — o! ja tego niewiem; ale wierzaj mi, że równie jak ty masz jakieś urojenie, które cię zajmuje bez ustanku, mam i ja pewną myśl, która nigdy mię nieopuszcza, ani śród najcięższéj pracy ani w najgłębszym śnie moim. Jest-to myśl, by wynagrodzić ci ile możności to złe, które matka moja ci wyrządziła. Leno, ja nieumiem mówić tak pięknie, jak ty; ale na miłość Boga, niepowątpiewaj o tém, co ci powiadam: od chwili twego zgonu Jan niebędzie już pracował, i wkrótce spocznie na cmentarzu złożony w ziemi obok ciebie. A gdybyś mię pytała, dlaczego, nieumiałbym ci na to odpowiedzieć. Pod moją płótnianką bije serce czułe i gorące: tyś biedne dziécię bez rodziny, to dosyć dla mnie. Żyjże więc, Leno, dopókąd niedójdę do lat sędziwszych; — moja praca....“

W téj chwili ozwał się zdala jakiś głos groźny:

— „Powracaj z krową, a prędko!“

Jan powstał, spojźrzał na Lenę błagającym wzrokiem i znikł śród olszyny mówiąc półgłosem: — „Idę natychmiast do domu. Idź Leno; ona niebędzie cię już biła.“

Lena wzięła do rąk powróz krowy i zeszła powoli na ścieżkę wiodącą do futoru.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ŻOŁW.

(Dokończenie. Ob. Nr. 1. Rozmaitości.)

Wychwalić się nie mogą, ci co wyspy te odwiedzali, wspaniałości zachodu słońca pod noc, w której żółwie zawitać mają na Tartugi. Słońce zatacza się kulą coraz czerwieńszą po czystém, ciemno-niebieskiém sklepieniu, zdaje się że samo rośnie, trzykroć mu nad zwyczaj okręgu przybywa, i w chwili kiedy zapada, rozlewa się po niebie w płomień złoty, który w dali ku zachodowi przetwarza się w purpur najświetniejszy. A pary napowietrzne ochłodzone za jego wstępem, stężają się w obłoki nakształt gór wiszących nad światem, z których złoto się leje, i jakby stygło w potoku ku ziemi, ciemnieje i cie-

mnieje, aż słońce całkiem zapadnie i noc najczystsza płaszczem swoim wszystko osłoni.

Dopiéroż ruch między rzeszą nocną; skrzydlaty niedopierz rozpina się i zawiesza nad wyziewami morza, pelikan sunie w krzewistą puszczę, sowsko błąka się gdzieby spoczynku dopaść, i osiada na żaglu okrętowym, w końcu dźwiga się z-pod wód żółw niezgrabny i wznosi łeb w powietrze. Widać że nogami robi, widać szerokie barczyska wydatnie, ale ani rąbka fali na wód powierzchni, tak umie cicho i spokojnie płynąć, od czasu do czasu słychać tylko sapanie, jak gdyby ulegał pod jaj ciężarem. Czeka aż księżyc wznijdzie i morze osrebrzy, wtedy ląduje i wlecze ciężarne cialsko po piaskach zwolna, bo nogi jego wprawniejsze do rudla niż do powłoku. Gdy stanie na miejscu, rozrzewnia patrząc z jaką troskliwością rozgartuje piaski i w ścianę namiata około gniazda, gdzie chce jaja składać; po złożeniu zaplaskuje tylnemi łapami jamę, ażeby śladu nie znać, i opatrzywszy że wszystko w porządku, dopiéro swobodnie i wesół wraca zanurzyć w morze.

Ale nie wszystkie żółwie o jednéj porze wychodzą na ląd. Olbrzymi żółw podchodzi w kwietniu, zwiedza rzéki, przyspy, i składa jaja po dwakroć w maju i w czerwcu, ogółem do 241 jaj. — Jastrzębiec gdy się rozruszy z-pod głębi morskich, odwiedza najprzód odleglejsze od lądu wyspy, zdawałoby się że szuka miejsca dogodniejszego, lecz w czerwcu i lipcu zabiega na Tartugi i znosi jaja, w przecięciu 300. — Maczugę widują na Tartugach już w kwietniu, i odtąd pokoniec czerwca trzykroć składa jaja, każdą razą po 170. Puzdro ze wszystkich najpoźniéj przybywa, i znosi po dwakroć razem 350 jaj.

Lecz w doborze miejsca najostrożniejsze są żółwie olbrzymi, zielony i jastrzębiec. Olbrzymi upatruje gdzie miejsce najdziksze; często gdy na Tartugach niedowierza, podsuwa się ku wybrzeżom lądu Florydy, albo zapędza w górę pod rzékę, o czém wiedząc myśliwi i Indyanie tylko na niego czatują; jastrzębiec jeszcze przezorniejszy trzyma się tylko wybrzeży wysp bezludnych, i częstokroć szczęśliwszy uchodzi łupów wilczych, bystrowidzich i kaguara.

Sposób zaś i zwyczaj jaki żółwie mają, gdy zachodzą składać jaja na piaski, jest bez mała u wszystkich jednakowy. I tak: dopływując na dwieście stóp do brzegu, wystawia żółw najsamprzód z-pod wody głowę i ogląda się z uwagą na około, czy co podejżrzanego nie widać; obiera dla tego zwykle noc miesięczną. Na szmer lub szelest, jaki zasłyszy, wydaje głos, właściwie huk przeraźliwy, pewnie ażeby popłoszyć szkodników, bo istotnie co tylko z takim wrzaskiem nie jest oswojone, wszystko w popłochu ucieka; sam zaś żółw zanurza się i uchodzi dobrze wopodal, i dopiéro gdy się wszystko uciszy, wychodzi na ląd, łeb naprzód wyprężony domierza stanowiska jakie rozumie, staje, ogląda się na cztery wiatry, miarkuje ku któréj okolicy nieba się zwrócić, i zabiera się śpiesznie do dzieła. Składa tylne łapy w warzochę, zaczyna drążyć jamę i z-pod siebie wybierać piasek, a tak zręcznie że rzadko bryłka która napowrót zapadnie; wysep nad jamą odgartuje, przytém dosyć zabawnie, oprze łeb i przednie łapy o ziemię przed sobą, a tylnemi uderzy o ścianę naspu i w tył daleko rozniesie. Tym sposobem w przeciągu nie spełna 10 minut, staje jama na 18 cali do dwóch stóp głęboka, w które składa warstwami jaja po 150 do 200 naraz. Bawi ze 20 minut, nim się wypaprószy, zwraca wtedy i zagartuje gniazdo piaskiem, i tak zaplaszcze, że śladu nie poznać. Wolen ciężaru, porucza wyklucie słońcu, a sam wraca do morza teraz raźniéj i śmieléj, a przynajmniéj z większą przytomnością; bo pokąd žnoszeniem jaj był zajęty, nic go roztargnąć nie było w stanie. Do Olbrzyma można się wtedy przybliżać, można mu na grzbiet wyłazić, stać na nim, nie ruszy się i ani trunie, póki jaj nie poskładał, ale wtedy rzuca się gwałtownie w skok, i z takiém natężeniem, że nadludzką

musiałby ten mieć siłę, ktoby go wtedy dotrzymał.

Ażeby przytrzymać, trzeba by go przewrócić. Żółw na wznak nie umie sobie radzić, nie umie ani łapami z ubocza wyrabiać, ani łbem wykręcić nie jest w stanie, ażeby się podratować. O tém wiedzą mieszkańce, i często barczysty Indyanin zachodzi żółwiowi drogę, klęczkiem nachylony podsunie mu za postument pod jednę łapę swe plecy, i z niecnacka wypręża się, gdy żółw stąpi. Niespodzianie rażony w przeciwnym kierunku swéj siły, żółw się wywraca. Uchodzi sposób, jeźli żółw nie zbyt olbrzymi; na olbrzymy radzą sobie drążkiem i hakownicą.

Ciekawszym daleko jest połów żółwia na wodzie, tam on w swoim żywiole umie się bronić, omijać i walczyć, tak że najwprawniejszemu częstokroć z trudnością przychodzi iść z nim w zapasy. Łowy zaś, mianowicie a wybrzeży Florydy, są rozmaite. Niektórzy żółwiarze (turtlers) rozpinają sieci, gdzie woda płytsza, sposób jeden z niewinniejszych; żółw w matni plącze się i ulega. Inni łowcy wychodzą z oszczepem osadzonym na linie pobieżnéj a w ostre żelezce okutym, i godzą na żółwia sposobem jak wieloryba poławiają. Czatują na statku w miejscu, gdzie żółw zwykł na powierzchnię wody podchodzić; oszczep pchnięty przebija tarczę i strzęgnie, jeźli był dobrze wymierzony. Obierają na ten połów noc spokojną i cichą, upatrzywszy wprzód miejsce, gdzie się żółwie pasą, co poznać po ogryzkach trawy morskiéj spływających na powierzchnię morza. Statek podpływa jak najciszéj, wiosła poobwijane ażeby mniéj ich słychać, włócznik staje na czopie statku z oszczepem wytężonym, mierzy okiem gdzie ślad jaki, sygnały wydaje ręką, ażeby głosem nie spłoszyć żółwia. Trop i ślad dają mu bąbelki podchodzące z wody, znak pewny że żółw w tém miejscu dyszy, i wkrótce podejdzie zachwycić powietrza. W téj chwili grot spada, oszczep przeszywa tarczę, strzęgnie i rozwija za sobą z kołowrotu linę, do któréj u rączki był spięty. Tu następuje scena łowiecka zupełnie jak przy połowie wieloryba, z mniejszém atoli niebezpieczeństwem, bo nieprzyjaciel słabszy.

W zatoce Moreton w północnéj Australii podejmują krajowce połów na inny sposób. Obdarzeni wzrokiem bystrym, oko ich dopatruje wdali żółwia, gdzie mieszkaniec Europy ani by się spodziewał. Otóż podsuwają czółnem zcicha, i gdy nad nim staną, rzuca się jeden z nich pędem pomiędzy wiosła w głąb wody, i we dwie, trzy minut wypływa z żółwiem. Do zadziwienia u tych Indyan zręczność, często chłopak wywlecze żółwia trzykroć większego od siebie.

A jeszcze inny sposób opisuje Darwing Killing, angielski naturalista a naoczny świadek połowu na oceanie indyjskim. Są tam u wybrzeży limany morskie opasane wielkiemi skałami koralowemi, po których z wiekiem ponarastały wspaniałe palmy kokosowe. Limany są płytkie, przezroczyste jak łza, wysłane piaskiem jak śnieg białym, od którego promienie słoneczne odbijają prześliczną zielonością. Pomiędzy ściany skał wypruło morze prądy, któremi w liman doprowadza wody, a z jednéj strony biegnie ze skały z pochowa wowąz, zwykłe lądowisko w limanie. Takich limanów jest wiele, są to lube i ciche sadzawki śród burzliwego żywiołu, i podczas gdy gniewliwe morze miota falami i znadworu bałwany o skały roztrąca, tu zawsze spokój, powierzchnia jak krzyształ jasna i przezroczysta, wydaje się jak nuta śpiewna wśród wrzasków wojennych. Owoż te limany są ulubionėm siedliskiem poważnego rodu żółwiego. Wprawdzie gdy żółw pogoń zasłyszy, zanurza się do spodu, ale że liman przeźroczysty i płytki, Indyanin podpływa czółnem, gdzie go pod sobą dopatrzył, przyczekuje chwilkę, aż żółw głowę z-pod tarczy wystawi, rzuca mu się pędem na grzbiet, łapie oburącz za gardziel i dusi. Strwożony żółw zrywa się, sam niewić co się stało, czuje że tchy w nim zaparło, więc pewnie

myśli że mu powietrza potrzeba i spływa na wierzch; a Indyanin siedzi na nim, gardło mu coraz tężéj obciska, żółw po powierzchni wody miota jak szalony sobą, czółno z łowcami za nim, a śmiały jeździec radośnym okrzykiem obwołuje zwycięstwo swoje, aż żółwiowi wreście opadną siły, i podając się niepojętym losom przeznaczenia swego, obwisa na wodzie jak kłoda spławiona. Wtedy jeździec zarzuca mu w kulkę powróz na szyję, dodusza wskakując na czółno i wywleka połów z tryumfem, i dziękuje bogom, że mu pobłogosławili zapasem żywności.

Jeźli żółw błogosławieństwem mieszkańcom wybrzeży morskich, więcéj jest jeszcze opatrznością mieszkańcom porzecznym w środkowéj Ameryce południowéj, kiedy skwar słońca powypalał trawy i wszystkie żywioły ziemne. O téj porze zabiega żółw korytem rzék w głąb kraju i ścieli dostatki. Ponad rzéki Amaçon, Selimoe i Madeira bieżą rozłogiem ławy piaszczyste, do nich zdążają żółwie w miesiącach październiku i listopadzie i znoszą swe jaja. Przodem zabiega gromadka mała na sposób wywiadowców, którzy kraj rozpoznają; za nimi tłoczą się hufce w ścieśnionych kolumnach, samice środkiem, po bokach samce w poczcie nie nader licznym, widać że tylko dla straży. Pod noc wychodzą na ląd, w minucie zalegają wszystkie przestrzenie ławy piaszczystéj, często na milę i więcéj wzdłuż brzegu, z pośpiechem tłoczą się w dal odbrzeżną, że odgłos tarcia tarczy o tarczę rozchodzi się daleko, aż staną na miejscu, gdzie jaja sadzają.

Ławy te wszystkim są znane, moc Indyan tu się zbiega, ale rząd Brazylijski wyprawia strażników ażeby od szkody chronili żółwia i jaja. A ma w tém ważną przyczynę, bo pobiera dziesięcinę z jaj żółwich i oleju. Jest zatém mianowany inspektor, który utrzymuje nadzór między osadnikami w prowincyi Rio Negro, odgranicza przestrzenie, i każdemu wyznacza stanowiska, nad któremi czuwać mają, aż żółw jaja poznosi. Dopieróż do roboty! jedni odgrzebują jaja, drudzy składają w stogi średnicy stóp 15 do 20, i stosownéj wysokości, inni znoszą żłoby i sąsieki szczelnie powątorzone, ażeby nie przeciekały. Po téj piérwszéj robocie zsypują stóg po stogu obliczony do żłobów i sąsieków, obstępują i tłuką jaja i gniotą łopatami widłastemi na miazgę, polewają wodą i zostawiają na działanie słońca.

Upał słonecznych promieni wyciąga cząstki olejne na powierzchnię wody, to się zbiera czerpaczką konchastą w kotły i sadza do odwaru na ogień łagodny. Wkrótce oléj klaruje się, przybiéra kolor i płynność topionego masła, a gdy ostygnie, przekłada się w duże gliniane dzbany, w każdy po 60 funtów około. Towar arcyposzukiwany w południowych krajach Ameryki, znany pod nazwiskiem „Manteiga de Tartaruga“. Obliczono że rocznie na samych Solimskich wyspach wytapiają téj Manteigi do 900,000 funtów; zaś że na każdy dzban sześćdziesiątfuntowy idzie jaj 1.600, co czyni że w tém jedném już miejscu spotrzebują dwadzieścia i cztery milionów jaj rocznie. A żółwie o tém nie wiedzą, jak im ludzie rozpłodek trzebią, i co rok z nowym wysadkiem podchodzą.

Powiadają podróżni, i utrzymują jednomyślnie, że gdyby porwać żółwicę z jaj, kiedy się niesie i uprowadzić na okręt, aczby o tyle i tyle set mil drogi, żółwica wypuszczona wróci na miejsce zkąd była porwana, jeźli nie w tym samym, to pewnie w następującym roku. Może pan Bóg i żółwiom dał taki sam instynkt jak ptactwu wędrownemu, które po roku wraca na miejsce, zkąd było rodem. A przekonali się o tém Anglicy. Złapali żółwicę na morzu południowém u wyspy „Ascension“, a chcąc ja dla osobliwości zawieść do Europy, ażeby jéj kto nie wymieniał, wypiekli piętno na tarczy podbrzusznéj. Dowożąc tak zesłabła, że ją w kanale londyńskim musiano wyrzucić w morze. We dwa lata łapią tę samę żółwicę u wyspy Ascension, i właśnie jak wprzódy pod porę gniezdną. Tęschnota za krajem rodzinnym przepędziła nią przeszło ośmset mil drogi.

TYBETANIE.

Tybetanie pochodzą z rasy Mogolskiéj i dzielą się na pięć szczepów, między któremi szczep Butanów odszczególnia się siłą, wzrostem, i duchem mężniejszym, chociaż powierzchnia różnica się nie dostrzega, bo wszyscy ubior i strój noszą jednakowy. Buty futrzane o długich cholewach, suknia wierzchnia powłóczna jak u Chińczyków; taka sama lub podobna u kobiét, z odmianą jednak ubioru na głowie. Kobiéty przeplatają włosy perłami i zaplatają kosy, dziéwczęta we trzy warkocze, a mężatki we dwa tylko. Mężczyźni noszą czapki, jedni żółte, drudzy czerwone, jak jakiéj są sekty, czyli wyznania religijnego; chociaż na prawdę te wyznania nie bardzo się różnią, przynajmniéj nie wpływają na obyczaj domowy, który wszędzie jest jednakowy, a najgłówniejszy taki: Jeść wtedy kiedy się zachce i nie trzymać się pory; powtóre jadać to co jest w zwyczaju i od wieków się jadało; potrzecie nosić się jak się wszyscy z dawien dawna nosili; zachowywać obrządki religijne jak w ksiegach u księży zapisano; a w ogólności trzymać się dawnego, i żyć jak kto może.

Jadają o każdéj porze kiedy się tylko podoba, na to oznaczonéj godziny u nich nie ma; więc téż wszędzie w pogotowiu stoi herbata, i mąka jęczmienna, gdyż herbaty czystéj mało kiedy zażywają, ale robią z niéj polewkę jęczmienną. Innego rodzaju polewka jest: mieszanina wody, mąki, masła i soli z dodaniem odwaru herbacianego. Lubią baraninę, do któréj przypijają wódkę i piwo wywarzane z jęczmienia. Tém się raczą sami, i tém częstują gości przybywających; ale gość winien przynieść gościńca ze wstążki jedwabnéj. Takie wstążki kupują się już gotowe, i są rozmaitéj długości, któréj się dobiera według zacności i dostojeństwa osób które się odwiedza; ale każda taka wstążka ma po obu końcach wszyty napis: *„Om mani pai* (albo *pad*) *mi om;* co znaczy słowo pozdrowienia. Witając zdejmują czapkę z głowy i chylą się do kolan.

Odwiedziny tego rodzaju odbywają się osobliwie kiedy zachodzą w swaty, i małżeństwa się kojarzyć mają. A zwyczaj jest w Tybecie, że jedna kobiéta ma razem kilku mężów, a to zaś za tém idzie, że żona najstarszego brata, jest oraz żoną wszystkich młodszych braci.

Z prawa najstarszy brat upatruje panienkę, zwierza się rodzicom, i ci wyprawiają swatów. Jeźli rodzice dziéwczęcia się zgodzą, swat tedy dziewczynie przystraja głowę w klejnoty, znosi upominki jak na jakie stało nowożeńca, wstążki, perły, klejnoty, suknie, nawet bydło przypędza: i to stanowi posag wyprawy. Przed pomieszkaniem narzeczonéj rozbijają namiot, sadzają pannę młodę na poduszkach, krewni i goście za starszeństwem stają po bokach, i obsypują dziewicę błogosławieństwem, pszenicą i jęczmieniem; poczém następuje uczta. Po uczcie idą prenosiny w dom nowożeńca, drogę przed nimi wysypują ziarnem pszenicy i jęczmienia, a w domu państwo młodzi zasiadają obok siebie w miejscu przygotowanym, częstują się herbatą, a każdy z gości daje im w upominku wstążkę, a czyja łaska składa im u stóp i inne dary. Nazajutrz przyjmują się już tylko sami krewni; na tém kończy się obrząd weselny, i wprowadzona panna młoda obwołaną jest żoną wszystkich braci, i zawiaduje całém gospodarstwem.

Zawieranie ślubów małżeńskich uważają więc Tybetanie za akt szczero cywilny, i nie łączy się bynajmniéj z jaką ceremonią kościelną. Tém większe zachodzą obrządki religijne przy pogrzebach, osobliwie duchowieństwa wyższego i Lamów; bo lud prosty zwykle wystawia zwłoki swoich w miejscu otwartém na ustroniu ale ogrodzoném, i zezwala pastwy ptactwu drapieżnemu i zwierzętom. Lecz Lama jak umrze, zaraz mu wyginają członki w postawę Buddhy, podkurczają mu nogi, stopy wykręcają w górę, ręka prawa musi byś zwieszona, lewa wygięta do szyi tak ażeby wielkim palcem zasięgała za ramię ku plecom; w takiéj postawie idzie ciało na stos, a popioły zbierają się w urnę, i chowają w grobowcach.

Grobowców takich pełno w każdém mieście, są okazałe, i wytwornéj roboty; znajomszy nam w H'lassie, należy istotnie do wspanialszych gmachów architektury środkowo-azyatyckiéj. Jest-to Mausoleum Teszu-Lamy, zbudowany przy końcu upłynionego stulecia; wygląda jak poważna strażnica stawiona w czworobok, z podwójném naddaszem na sposób chiński, a obwieszona w około dzwonkami, które za każdym powiewem wiatru dzwonią umarłemu. Wewnątrz spoczywają zwłoki w złotéj trumnie na piramidzie, u wezgłowia piramidy stoi wystawiona ogromna muszla, a z niéj wystaje wizerunek Lamy także ze złota. Boki piramidy wyłożone są płytami srebrnemi, a u stóp złożone są klejnoty i kosztowności, które nieboszczyk posiadał. Przed piramidą bliżéj ku drzwiom wznosi się ołtarz, na który składają pobożni ofiary swoje i dary wznoszone na cześć i chwałę zmarłego. U rogu ołtarza stoi drugi posąg Lamy w naturalnéj wielkości, w postawie czytającego; świec tu nie palą, ale z powały powiewają wstęgi, i jedwabne materye w kształcie chorągiewek, i ościelają obłokiem cały powiot; ściany są ozdobione w obrazy, przedstawiają księży w medytacyach lub na modlitwie, cały gmach zresztą zaleca się z ozdób wyszukanych, a zbudowany jest bardzo mocno, nie mniéj dla bezpieczeństwa, jak téż ażeby uczcić pamiątkę po tym, którego lud uświęcił. Jest tu w H'lassie jeszcze ze trzysta innych duchownych budynków, klasztorów, świątyń, grobowców, ale żaden nie jest tak wspaniały; okna zasłaniają przezroczystą włosiennicą, a w powale górnego piątra bywa zwykle luka, którędy światło wpada, i na dach się wychodzi. Dach zaś otoczony jest balustradą miedzianą i czemś świecącém, co okazałości przyczynia.

(Dokończenie nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*